

Bolesław Szpryngiel

## **ODYSEJA GRZEGORZA SZPRYNGELA**



Zielona Góra 2013

*Niech cię nie niepokoją  
Cierpienia twe i błędy  
Wszędy są drogi proste  
Lecz i manowce wszędy*

*O to chodzi jedynie  
By naprzód wciąż iść śmiało  
**Bo zawsze się dochodzi**  
**Gdzie indziej niż się chciało***

*Zostanie kamień z napisem  
Tu leży taki i taki  
Każdy z nas jest Odysem  
Co wraca do swej Itaki*

Leopold Staff „Odys”

Bogate jest piśmiennictwo wspomnieniowe dotyczące Kresów Wschodnich, zwłaszcza z okresu II wojny światowej. Autorzy tych wspomnień zajmują się głównie martyrologią polskiej ludności zamieszkałej tam od stuleci, w szczególności zaś ludobójstwem ukraińskim. W moim opowiadaniu, dotyczącym tułacznych losów mojego Ojca również sporo miejsca poświęcam właśnie okresowi ostatnich dwóch lat jego życia na Wołyniu przed ostatecznym pożegnaniem ziemi swoich przodków. Na zawsze.

Opowiadanie podzieliłem na etapy Jego tułaczki. Taki układ ułatwił mi opisywanie poszczególnych rozdziałów Jego życia. Ha, wszak nawet Homer, najsłynniejszy epik wszechczasów, tułaczkę Odysa opisywał etapami jego wędrówki. Jego bohater jednak w końcu dotarł do celu. Mój nie miał takiej szansy...

Że co? Że to porównanie trąci zwykłym megalomaństwem? No dobrze, dobrze, niech będzie. Proszę więc o wyrozumiałość i zachęcam do poznania meandrów drogi życiowej Grzegorza. Zatem do rzeczy.

### **Etap I - Komarów**

Opisując tułacze losy Grzegorza należałoby zacząć już od czasów jego dzieciństwa. Ponieważ jednak te najwcześniejsze dzieje znam - po części - z bardzo ogólnych jego wspomnień, po części zaś - z mojej wiedzy historycznej dotyczącej osadnictwa ludności polskiej (i nie tylko) na Kresach, okres ten z konieczności przedstawiam tylko w zarysie.

Grzegorz urodził się 7 maja 1893 roku jako pierworodny syn jednodworca Stanisława Szpryngela i Agnieszki z domu Drzewińskiej we wsi Komarów w gminie Kołki, powiatu łuckiego na Wołyniu. Nazwisko wskazuje na jego germańskie pochodzenie i prawdopodobnie pierwotnie było zapisane jako Springer. Następnie uległo „spolszczeniu” głównie przez wadliwe zapisy metrykalne w księgach parafialnych, w których proboszcze zapisywali swoich parafian przy okazji chrztów, ślubów czy pogrzebów tak jak słyszeli. Z reguły w ich brzmieniu fonetycznym, spolszczając ich pierwotną pisownię.

Tak też musiało być z nazwiskiem Grzegorza, co ilustrują zapisy z ksiąg Parafii Kołki:

- Łukasz Szprynger ur. 1829 s. Władysława i Agaty
- Franciszek Szprenger ur 1832 s. Władysława i Agaty
- Jan Szprynger ur. 1835 -odnodworzec
- Stanisław Szpryngel ur.1863 - syn odnodworca

Ród Springerów przywędrował na Wołyń prawdopodobnie około połowy XVIII wieku w czasach saskich. Jak pisze D.Demski z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN, osadnikami na Kresach „byli głównie Niemcy z pierwszej fali osadnictwa z Saksonii. Byli sprowadzani przez możnowładców w związku z podjęciem nowej działalności gospodarczej w oparciu o miejscowe surowce i w celu przyuczenia ludności miejscowej w „fachu”. Osadnicy w większości polonizowali się wchodząc w związki małżeńskie z miejscową szlachtą zagrodową i uzyskując w ten sposób niektóre przywileje szlacheckie. Gdy po Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku w utworzonym Królestwie Polskim władze carskie w dążeniu do zmniejszenia stanu szlacheckiego przeprowadziły tzw. legitymację szlachectwa. Szlachta zagrodowa, która nie mogła okazać stosownych dokumentów („wywieść się z szlachectwa”), formalnie została zaliczona do stanu chłopskiego. Jednakże zachowała niektóre przywileje jako *odnodworcy (jednodworcy)*. I tak: jednodworzec nie podlegał pańszczyźnie jak chłop, miał prawo do pracy najemnej (np. jako nadzorca chłopów), mógł nabywać ziemię na własność, a do roku 1840 nawet posiadać chłopów pańszczyźnianych.

Jak już wspomniałem ojciec Grzegorza - Stanisław Szpryngel, syn Jana Szpryngera jednodworca - był dzierżawcą niedużego folwarku we wsi Komarów. Dorobił się tu trochę grosza i wspomagany finansowo przez swoich rodziców postanowił się uwłaszczyć. Sprzyjała temu ówczesna polityka carska po uwłaszczeniu chłopów. Za namową swojego szwagra Jabłońskiego zamieszkałego na kolonii Rudni odkupił w jego sąsiedztwie od dotychczasowego właściciela (w związku z jego wyjazdem do Ameryki) 15 dziesięcin ziemi z dwuizbową chatą i zabudowaniami gospodarczymi. Po niewielkim doinwestowaniu w roku 1900 ojciec Grzegorza wraz z rodziną: żoną Agnieszką, synem Grzegorzem i córkami Dominiką, Heleną i Bronisławą, zamieszkał już na własnym gospodarstwie. Tak się rozpoczął drugi etap życiowej wędrówki Grzegorza.

## **Etap II - Rudnia**

Tu na kolonii polskiej Grzegorz spędził swoje dzieciństwo i lata młodości. Nie były one zbyt bogate w wydarzenia. Rodzina Szpryngielów, podobnie jak inni mieszkańcy Rudni, prowadziła swoje gospodarstwo tradycyjnymi metodami. Rozbudowali trochę zabudowania gospodarcze, przywracali do użytku zaniedbane pola, hodowali zwierzęta domowe, uzupełniali sprzęt i narzędzia rolnicze, uprawiali warzywa, chodzili do kościoła. Zwyczajne, tradycyjne życie zacofanej wsi kresowej. Niemal powszechny analfabetyzm. Szkolnictwo praktycznie nie istniało. Na kolonii Rudnia sztukę czytania i pisania znał tylko dawny dziedzic „urodzony” Jędrzej Michałowski i b. jednodworzec Konstanty Kazimierski. Ponieważ „dworzanin” Jędrzej Michałowski nie wchodził zbyt blisko w bliższe relacje z chłopskimi sąsiadami, Konstanty Kazimierski pełnił m.in. nieoficjalną funkcję nauczyciela języka polskiego. Grzegorz, jako jedyny z rodziny, korzystał z nauczania pana Kazimierskiego. Siostry pozostały analfaberkami, „bo pannom nie potrzebne jakieś pańskie fanaberie”. Poziom tej „nauki” p. Kazimierskiego nie był chyba zbyt wysoki (metody nauczania opisałem w swoim CV - autor) skoro Grzegorz umiał wprawdzie, choć z trudem, przeczytać „drukowane”, ale już z pisaniem sobie nie radził. Ledwie potrafił się podpisać „*żeby nie stawiać krzyżyków, bo to wstyd*”. Oczywiście istniało także jakieś życie

towarzyskie. Młodzież organizowała zabawy taneczne, brała udział w lokalnych uroczystościach, uczestniczyła w praktykach religijnych i chórze kościelnym, na spotkaniach śpiewano „na głosy” pieśni i piosenki polskie, jakie w drodze tradycji przekazywane były z pokolenia na pokolenie... Przyznać należy, że znaczącą rolę w utrzymaniu tożsamości ludności polskiej tego regionu Kresów w tym okresie odgrywał Kościół Katolicki, bowiem wszystkie (za wyjątkiem mszy) nabożeństwa odbywały się w języku polskim.

Być może Grzegorz i resztę swojego żywota mógł spędzić na tej swojej „Itace”, tradycyjnie żyjąc i gospodarując na ojcowiznie gdyby nie wybuch I wojny światowej. Grzegorz, jako jedynak, był zwolniony od odbycia obowiązkowej służby wojskowej w carskiej armii. Nie podlegał zatem także ogłoszonej w cesarstwie powszechnej mobilizacji. Tak więc w życiu codziennym rodziny Szpryngielów wybuch wojny niewiele zmienił. Gdzieś tam na zachodzie Imperium toczyły się walki „naszych” cesarskich żołnierzy z wrogimi Austriakami, Madziarami i Niemcami, ale mieszkańcom Wołynia nic nie groziło. Tymczasem . . .

Był wrzesień 1915 rok kiedy - jak grom z jasnego nieba - spadła wiadomość, że nadchodzą „Awstryjcy”, że lokalne urzędy carskie pośpiesznie ewakuują się w głąb Cesarstwa. Ratuj się kto może! Panika ta jednak nie udzieliła się mieszkańcom Rudni. Pozostali na miejscu. Miejsce strachu zajęła ciekawość. Jakoż wkrótce zjawili się ci „Awstryjcy”. Linia frontu rosyjsko-austriackiego okresowo przesunęła się tak daleko na wschód, że m.in. kolonia Rudnia nagle znalazła się w strefie frontowej. Austriacy zostali zatrzymani na tym odcinku frontu. Linia okopów przebiegała około 5 kilometrów na wschód od Rudni, mniej więcej wzdłuż tzw. szlaku klewańskiego przez Żurawicze, Marianówkę, Rudniki, Taraż, Koszyszcze i dalej na północ w kierunku Czartoryska.

Rządy austriackich władz wojskowych nie okazały się dla miejscowej ludności łaskawe. Rekwizycje stały się zjawiskiem niemal codziennym. Na potrzeby głodujących żołnierzy rekwirowano zboża i zwierzęta hodowlane, „płacąc” za zarekwirowane produkty kwitami upoważniającymi poszkodowanych do uzyskania należności „po zwycięskiej wojnie”. W gruncie rzeczy był to zwykły rabunek .

Ponadto nowe władze zaczęły podejrzewać miejscową ludność o sprzyjanie Rosjanom, a więc wrogom. W tej sytuacji jakiegokolwiek skargi na dopuszczających się gwałtów żołnierzy, kierowane do wyższych władz wojskowych, nie odnosiły żadnych skutków. W rodzinie Grzegorza protest przeciwko temu terrorowi zakończył się wysiedleniem całej rodziny w głąb Cesarstwa Austro-Węgierskiego, rekwizycją całego ich majątku łącznie z domem i zabudowaniami gospodarczymi, które po całkowitej rozbiórce wykorzystano jako materiał do umocnienia okopów. Tak zakończył się II etap „odysei” Grzegorza.

### **Etap III - Morawy**

Jaki był bezpośredni powód karnego przesiedlenia przez Austriaków rodziny Szpryngielów - nie udało mi się dociec. Plotka głosiła, że przyczyną było doniesienie Austriakom przez jakiegoś miejscowego muzyka, że Stanisław Szpryngel jest zdeklarowanym rusofilem i tajnym informatorem (szpiegiem) wojskowego wywiadu rosyjskiego. To miała być jakaś zemsta. Myślę jednak, że najbardziej prawdopodobną przyczyną był - mówiąc eufemistycznie - nazbyt stanowczy protest ojca Grzegorza przeciwko rabunkowej rekwizycji jego majątku. Przemawiał za tym nie tylko dość porywczy charakter Stanisława, ale także fakt, że z całej kolonii Rudni tylko rodzinę Grzegorza dotknęła represja w postaci karnego przesiedlenia

w głąb Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Tak czy owak ojcu Grzegorza wyznaczono trzy dni na spakowanie rzeczy i przygotowanie się do wyjazdu. Dokąd i na jak długo mieli być przesiedleni - nie zdradzono. Cały inwentarz żywy i martwy miał pozostać na miejscu.

W tej sytuacji Stanisław z pomocą syna w pośpiechu sprzedał okolicznym chłopom za przysłowiowy „psi grosz” co tylko się dało, oczywiście tylko za złote ruble, zaś narzędzia i cały nie sprzedany sprzęt gospodarczy oddał swoim sąsiadom. Matka z pomocą córek spakowała odzież, trochę niezbędnych do życia naczyń kuchennych i stołowych, jakieś przedmioty osobistego użytku, dokumenty. Pościel miały spakować w toboły w ostatniej chwili przed wyjazdem.

Jakoż po upływie wyznaczonego terminu przed dom Stanisława Szpryngela zajęły trzy chłopskie podwozy. Dwie były przeznaczone dla przesiedleńców, zaś trzecią zajmował konwój składający się z dwóch żandarmów. Po odmówieniu przez matkę Agnieszkę modlitwy „Pod Twoją opiekę” udali się w nieznaną. Na stacji kolejowej w Kiwercach żandarmi załadowali całą rodzinę do dwóch przedziałów trzeciej klasy informując, że w drodze na poszczególnych stacjach będą otrzymywać żywność i napoje. Nie byli sami. Pozostałe przedziały zajmowały inne rodziny również skazane na przesiedlenie.

Podróż z postojami trwała kilka dni. Grzegorz starał się zapamiętać nazwy mijanych stacji: Dubno, Brody, Lwów, Przemyśl, Tarnów, Kraków, Rybnik, Ostrawa, Hranice. Znaleźli się w okolicy Ołomuńca (Olomouc) na Morawach. Dalszą podróż z Hranice do posiadłości jakiegoś barona w Starym Jicinie odbyli podstawionymi wozami konnymi już bez konwojentów i zakwaterowani w dworskich czworakach. Tutaj mieli czekać końca zwycięskiej wojny C.K. Austro-Węgiei.

Aby przeżyć musieli podjąć jakąś pracę zarobkową. Już bez jakiegoś przymusu ze strony władz. W zaistniałej sytuacji ojciec Stanisław i dwie dorosłe już siostry: Dominika i Helena podjęli prace robotników rolnych w miejscowym folwarku. Grzegorz natomiast znalazł lepiej płatną pracę w charakterze pomocnika weterynarza w stadninie należącej do tego samego majątku. Matka Agnieszka z najmłodszą siostrą Grzegorza Bronisławą zajęły się gospodarstwem domowym.

Formalnie cała rodzina Szpryngielów pozostawała pod dozorem policyjnym sprawowanym przez miejscowy posterunek żandarmerii i zakazem zmiany miejsca zamieszkania bez zgody władz. Faktycznie jednak ci wygnańcy nie odczuwali jakichś szykan czy ograniczeń wolności osobistych. Mimo to czuli się tu obco w środowisku czeskim. Trudny, obcy język i związane z tym trudności w porozumiewaniu się z autochtonami i miejscowymi władzami, inne zwyczaje, święta, nawet kuchnia. Tęsknili, ciągnęło do swoich, z którymi można by choć pogadać „po ludzku”. Dlatego niemal zaraz po przybyciu do Jiczina podjęli starania o uchylenie zakazu zmiany miejsca zamieszkania w Cesarstwie.

Uzyskanie zgody władz na zmianę miejsca osiedlenia takich przymusowych przesiedleńców nie było sprawą łatwą. Zwłaszcza w warunkach przysłowiowej już austriackiej biurokracji. Przy staraniach o taką zgodę władz administracyjno-policyjnych potrzebny był upór i cierpliwość, a także... przekupstwo.

Korumpowanie urzędników wprowadzić nie było ojcu Grzegorza obce i w Cesarstwie Rosyjskim, ale tam wiedziano przynajmniej któremu urzędnikowi i jaki dać tak zwany „podarok”, aby sprawę pomyślnie załatwić. Przypuszczać należy, że Stanisław załatwił swoją sprawę głównie za pomocą złotych monet carskich przechowywanych na tzw. czarną godzinę.

Tak więc po wielu zabiegach, licznych kolejnych odmowach, wreszcie rodzina Szpryngielów latem 1917 roku uzyskała pozytywną dla niej decyzję władz administracyjnych. Zgoda umożliwiła zmianę miejsca osiedlenia na całym obszarze CK Austro-Węgier. Po naradzie rodzinnej postanowiono tymczasowo przesiedlić się do Galicji, skąd było już trochę bliżej do Rudni, jak tylko się wojna skończy.

#### **Etap IV - Sandomierz**

Niestety, wojna wciąż jeszcze trwała. Front wschodni okresowo ustabilizował się na terenie Wołynia mniej więcej na linii Brody - Łuck - Pińsk, a Rudnia znajdowała się w strefie frontowej. W tej sytuacji rodzina Grzegorza w drodze do celu, jakim wciąż była Rudnia, zmuszona została do znalezienia w Galicji miejsca tymczasowego zamieszkania. Takim miejscem, trochę z przypadku, okazał się Sandomierz.

W okresie zaborów, po Kongresie Wiedeńskim, Sandomierz stał się niewielkim miasteczkiem pogranicznym między Galicją a Królestwem Polskim, pozostając w granicach Imperium Rosyjskiego. Stracił wówczas swoje znaczenie administracyjne i gospodarcze. W czasie działań zbrojnych I wojny światowej miasto doznało dużych zniszczeń. Liczba mieszkańców zmniejszyła się do sześciu tysięcy. Nastąpiła stagnacja gospodarcza.

Do takiego Sandomierza w listopadzie 1917 roku, po kilkudniowej podróży koleją, dotarła rodzina Stanisława Szpryngela. Mieli trochę gotowizny w koronach austriackich, zarobionych w Jiczynie, więc zamieszkali w małym parterowym domku na peryferiach miasta. Żadnej pracy zarobkowej nie podjęli, bo jej nie było. Tak przetrwali zimę. Kończyły się pieniądze, ale nie kończyła się wojna. To zdecydowało o podjęciu decyzji o przeniesieniu się na wieś, gdzie łatwiej byłoby przetrwać trudne lata.

#### **Etap V - Dwikozy**

Po rozejrzeniu się w najbliższej okolicy wybrano oddaloną od miasta około 7 kilometrów wieś Dwikozy. Zdecydował fakt, że tu była możliwość wynajęcia chaty nadającej się do zamieszkania dla - bądź co bądź - dużej rodziny. Chałupę tę wynajął im syn zmarłych rodziców, który miał własny dom. Tak więc rodzina Stanisława w marcu 1918 roku już zamieszkała w nowym miejscu. Datę tę Grzegorz dobrze zapamiętał, bo tu po raz pierwszy spotkał się ze zwyczajem oblewania wodą dziewcząt w drugi dzień Świąt Wielkanocnych. Zwyczaj ten nie był znany na Wołyniu.

Dwuizbowa chałupa, choć już bardzo leciwa, po niewielkim remoncie i wybieleniu kredą, nadawała się do zamieszkania. Na utrzymanie można było zarobić wynajmując się do pracy miejscowym rolnikom. Wtedy dotknęło rodzinę Grzegorza kolejne nieszczęście. Po miesiącu w miarę spokojnego życia zachorowała matka. Wydawało się, że to takie zwykłe przeziębienie. Ponieważ choroba nasilała się mimo stosowania domowego leczenia, Grzegorz przywiózł z Sandomierza lekarza. Ten zaś rozpoznał ciężkie zapalenie płuc i przepisał jakieś leki. Nie krył, że stan chorej jest bardzo ciężki i nikłe są rokowania na wyzdrowienie. Należy przygotować się na najgorsze. Jakoż po kilku tygodniach choroby matka Agnieszka zmarła i została pochowana na miejscowym cmentarzu parafialnym.

Dwikozy były na owe czasy dość dużą wsią z urzędem gminnym, szkołą, kościołem parafialnym i stacją kolejową, zbudowaną już w czasie wojny przez wojska rosyjskie w roku 1915. We wsi było kilkunastu dość zamożnych chłopów, u których można było wynajmować

się do prac sezonowych, a to dawało całej rodzinie Stanisława podstawy utrzymania. Najemnie pracowali: Grzegorz i jego obie siostry: Dominika i Helena. Ojciec Grzegorza i najmłodsza siostra Bronisława zajmowali się domem. W takich warunkach przetrwali do następnej wiosny.

## **Etap VI - Rudnia II**

*Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki.  
Heraklit z Efezu, VI-V w.p.n.e*

Wczesną wiosną 1919 roku dotarli jednak w końcu do swojego gospodarstwa na Rudni. Niestety, nie tego się spodziewali. Na miejscu zastali przysłowiową „gołą ziemię”. No, może nie gołą, bo porośniętą samosiejkami olszyny i łozy, zachwaszczoną perzem, ostami. Z domu i budynków gospodarczych pozostał tylko ślad w postaci kupki gruzu i gliny. To nie była już ta Rudnia, którą opuścili przed prawie czterema latami i którą chcieli ujrzeć po powrocie. Z dawnych sąsiadów, którzy mieli szczęście przetrwać na miejscu wojenne zawirowania, na swoim mieszkały rodziny: Olszewskich, Kazimierskich, Markowskich, Antoniego Szpryngela, Adama Jabłońskiego. Ten ostatni był szwagrem Stanisława Szpryngela: obaj pojęli za żony rodzone siostry: Agnieszkę i Józefę z d. Drzewińskiej z kolonii Chmielówki. Byli więc spowinowaceni i w jakimś sensie zobowiązani do wzajemnej pomocy. Adam Jabłoński nie mógł jednak udzielić rodzinie szwagra nawet tymczasowego schronienia, ponieważ jego 11-osobowa rodzina żyła stłoczona w dwuizbowym domu. Zgodził się jednak aby rodzina szwagra tymczasowo urządziła się w jego stodole.

Tak więc ojciec Grzegorza, ulokowawszy swoją rodzinę w prowizorycznie przystosowanym do zamieszkania lokum w stodole, zajął się odbudową własnej sadyby. Za zachowane na tzw. czarną godzinę złote carskie monety 5-cio rublowe kupił od ukraińskiego chłopca w sąsiedniej wsi Sitnicy niewielką chałupę. Z pomocą syna Grzegorza rozebrał ją i z tego budulca sklecił swoją „nową” chatę. Już jednak w nowym miejscu. Pewnie dawną lokalizację uznał za pechową.

Ta nowa chałupa dużą sienią łączyła się ciągiem z obórką dla krów i stajnią dla koni, dobudowanym chlewikiem dla świń i drobiu. Cóż, może to i nie było najprzyjemniejsze sąsiedztwo względnie dużej izby mieszkalnej, ale innego wyjścia nie było. Sporą część izby zajmował wielofunkcyjny gliniany piec. Piszę „wielofunkcyjny”, bowiem przy braku trzonu kuchennego czyli płyty z fajerkami, w takim piecu, oprócz wypiekania chleba i ciast, także gotowano strawę. Służył on również do suszenia owoców, grzybów i jagód, podgrzewania zsiadłego mleka do wyrobu twarogu, ale także do suszenia snopków lnu przed jego przeróbką na włókno przy pomocy ternicy. Na piecu można było urządzić miejsce do spania lub wygrzewania się przy przeziębieniach czy grypach. Małe dzieci w porze zimowej chętnie urządzały tam miejsce do zabawy, pod piecem gospodyni trzymała drobne polanka i łuczywa służące jako rozpałka. Bez większej przesady można więc powiedzieć, że taki piec był urządzeniem decydującym o przeżyciu na wsi w istniejących wówczas warunkach.

Po kilku miesiącach Stanisław wraz z rodziną mieszkał już na swoim. Za złote pięciorublowki (banknoty zaborców straciły wszelką wartość) kupił krowę, parę koni, wóz drabiniasty, pług, bronę. Trochę swoich narzędzi rolniczych odzyskał od sąsiadów, których Austriacy nie wysiedlili. Już w następnym roku zbudował stodołę, a przy niej oborę dla bydła i stajnię dla koni, chlew. Życie zaczęło się toczyć w miarę normalnym trybem.

Tymczasem dorosłym siostrzom Grzegorza pilno było już do zamążpójścia i założenia własnych rodzin. Pierwsza Helena przyjęła oświadczyny Zenona Skirzewskiego, zamieszkałego w ukraińskiej wsi Ostrów (mieszkało tam kilka polskich rodzin). Prawdę powiedziawszy ojciec Heleny nie był szczególnie zachwycony kandydatem na zięcia. Zenon był jednym z trzech braci gospodarujących na małym gospodarstwie, nie posiadał żadnego wyuczonego zawodu, był inwalidą od urodzenia, utykającym na prawą nogę. Nie pomogły jednak żadne perswazje, córka postawiła na swoim. Oświadczyła stanowczo, że go kocha i koniec. Małżeństwo stało się faktem. Po ślubie Helena wprawdzie przeniosła się do męża, ale już po roku Skirzewscy wrócili na Rudnię. Tutaj na wydzielonej przez ojca dwuhektarowej działce gruntu przy finansowej pomocy brata Zenon zbudował niedużą jednoizbową chatę, sienią łączącą się z małą stodołą, obórką i chlewikiem, trochę podobną do tej, jaką posiadał jego teść Stanisław. Mieli się utrzymywać z uprawiania tej działki i najemnej pracy Zenona. Trudno byłoby utrzymywać, że żyli dostatnio.

W następnym roku także druga siostra Grzegorza - Dominika oświadczyła, że się zakochała i właśnie spodziewa się dziecka. Jej wybrankiem był Mieczysław Bojkowski, mieszkaniec Rudni, gdzie Bojkowscy zamieszkiwali już od pradziada i gospodarowali na kilkumorgowej gospodarce. Nie było więc co zwlekać ze ślubem.

Stanisław w posagu wydzielił ze swojego gospodarstwa znowu trzy dziesięciny gruntów, zaś Mieczysław - przy finansowym wsparciu swoich rodziców - wybudował na nich wygodniejszą już, dwuizbową chatę, stodołę i oborę. Mieczysław był cieślą, posiadał cenioną wtedy umiejętność ociosywania bali toporem (po wstępnej obróbce siekierą), także cięcia specjalną ręczną piłą wzdłużną grubych pni na tarcicę tzw. trączkę. Uprawa tego niewielkiego gospodarstwa rolnego i najemna praca Mieczysława stanowiła podstawę utrzymania Bojkowskich.

W tej sytuacji Grzegorz uznał, że i jemu nadszedł czas założenia własnej rodziny. Ukończył już 28 lat! Właśnie poznał pannę, która mu się szczególnie podobała i o jej względy począł zabiegać. Nazywała się Wiktoria Koksanowicz, zamieszkała ze swoimi rodzicami Mikołajem Koksanowiczem i Józefą z d. Ostrowska na kolonii Marianówka. Oświadczyny Grzegorza, z zachowaniem tradycyjnego rytuału tj. ze swatem, zostały przyjęte. Po obowiązkowych zapowiedziach młodzi stanęli na ślubnym kobiercu we wrześniu 1921 roku w kościele parafialnym w Kołkach.

Po ślubie zamieszkali w starej chacie wspólnie z ojcem Stanisławem i najmłodszą siostrą Grzegorza - Bronisławą. Sprawą pilną stała się budowa własnego domu. Głównie z posagu żony Grzegorz już zimą zakupił w lasach Radziwiłła dłużyce starych, żywicznych sosen do pocięcia ich na bale, tzw. *brusy* i przy dużej pomocy swoich marianowskich szwagrów: Sztadhauza, Gilewskiego i Kozłowskiego zwiózł ten surowiec na plac budowy przy istniejących już zabudowaniach gospodarczych. Trzeba wiedzieć, że budowa drewnianego domu (a murowanych z cegieł palonych wieś wołyńska w tym czasie nie znała) nie było łatwa. Grube sosnowe pnie należało ociosać siekierą, wygładzić toporem i ręcznie przez traczy specjalną piłą pociąć na belki grubości ściany. Z tak przygotowanych belek, zaciętych na tzw. *węgiel* budowało się ściany domu, poszczególne belki (brusy) łącząc ze sobą na dyble. To musiało trwać. I trwało. Budowę przedłużały także duże wydatki, bowiem Grzegorzowie postanowili obszarowo powiększyć swoje gospodarstwo i przy pomocy kredytu zaciągniętego w tzw. Banku Stefczyka, nabyli kilka hektarów gruntów rolnych. Trzeba było spłacać kredyt i opłacać rzemieślników budujących dom.



Te okoliczności spowodowały, że do własnego domu, jeszcze nie całkiem wykończonego, można było się wprowadzić dopiero w 1927 roku. A był to już czas najwyższy. Rodzina powiększała się regularnie. Co dwa lata rodziło się kolejne dziecko: Waclaw 1922, Helena 1924, Bolesław 1926, Józefa 1928, Jan 1930, Ludwika 1932 i Wiesław 1934. Najmłodsze dziecko, córka Agnieszka urodziła się w roku 1940 i w tymże roku zmarła. Wcześniej, bo w roku 1937 po wybuchu na kolonii epidemii czerwonki, zmarli także najmłodszy: Ludwika i Wiesław.

W okresie międzywojennym w życiu Grzegorza i jego rodziny, poza wymienioną wyżej śmiercią trojga najmłodszych dzieci, nie zaszły jakieś inne nadzwyczajne wydarzenia. Jak wiemy, skutki światowego kryzysu gospodarczego dotknęły Polskę później niż państwa na zachodzie Europy i trwały niemal do wybuchu wojny. Szczególnie dotkliwie dały się odczuć na wsi kresowej. Rozdrobnione gospodarstwa chłopskie, zacofanie cywilizacyjne, zniszczenia spowodowane działaniami wojennymi, bezrobocie, nie stwarzały warunków dostatniego życia. Grzegorz, podobnie jak inni jego sąsiedzi, których podstawą bytu były gospodarstwa rolne, borykał się z tą marną rzeczywistością, ciężko pracując na swoim i dorabiając pracą najemną. Mając zawsze parę dobrych koni wynajmował się żydowskiemu kupcom do transportu towarów ze stacji kolejowych w Kiwercach, Maniewiczach czy Rożyszczach do ich sklepów w Kołkach. W porze zimowej zajmował się wywozem dłużyc (drewna) z okolicznych lasów do stacji kolejowych. Mając sporo pastwisk brał za odpowiednim wynagrodzeniem cudze bydło „do wypasu”. Wydatki wzrastały wraz ze wzrostem dzieci i kosztami ich nauki w szkołach. Powstawały zaległości w płatnościach rat kredytu, składek obowiązkowych ubezpieczeń, podatków, wreszcie odsetek. Najstarszy syn Waclaw pobierał naukę najpierw w Kołkach, gdzie musiał mieszkać na tzw. stacji, później w Państwowym Gimnazjum w Łucku, gdzie korzystał z płatnego internatu (bursy). Drugi syn Bolesław rozpoczął naukę w Kołkach i znów koszty stacji... Należy więc stwierdzić, że Grzegorz w tym okresie swego życia nie miał lekko.

Ale był to także okres pewnej stabilności, doznawanej satysfakcji z powodu dobrych postępów w nauce dzieci, planowaniem ich przyszłości, wymianą wizyt z krewiakami i uczestniczeniem w lokalnych uroczystościach i zabawach. Całe to - w miarę ustabilizowane - życie runęło we wrześniu 1939 roku wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej i zagarnięciem Kresów przez ZSRR.

Już w lutym osławione organy NKWD (Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł) rozpoczęły akcję zsyłkową, nazywaną przez nich przesiedleniem / (pieresieleńcy lub spieczepesieleńcy) w inne rejony ZSRR. Tymi rejonami - jak się okazało - były najczęściej okolice Archangielska, Wołogdy, Krasnojarska, Kazachstanu, Workuty. Temat aż nadto dobrze znany. Z kolonii Rudni takimi *spieczepesielcami* były rodziny: S.Tołscika, Wasilewskiego, Augustowicza, Jałowieckiego i innych uznanych przez władze sowieckie za wrogów (*wragi Sowieckowo Sojuza*). Były to rodziny potomków polskich zesłańców, które po I wojnie i zawarciu Pokoju Ryskiego w 1921 roku wróciły do Ojczyzny i zostały osiedlone przez władze polskie właśnie na kolonii Rudni. Naszych rudeńskich *Sybiraków* - jak ich nazywaliśmy - osadzono (bo przecież nie osiedlono) na *posiolku* Chołm w rejonie Tot`ma, obłaść Wołogda, w barakach po wysiedleńcach ukraińskich tzw. kułaków z lat trzydziestych.

Inne represje władz sowieckich, jakie dotknęły wieś kresową, to nadmierne obowiązkowe dostawy zbóż po niemal symbolicznych cenach i świadczeń w robociznie na rzecz różnych instytucji i organów nowej władzy, upaństwowienie ziemi, likwidacja nawet drobnego handlu prywatnego (sklepów), przyspieszona kolektywizacja gospodarstw rolnych i tworzenie

z byłych majątków ziemiańskich tzw. *sowchozów*. Nade wszystko zaś ciągnęła obawa, że każdej nocy mogą zakolatać do drzwi funkcjonariusze NKWD z poleceniem: macie pół godziny na spakowanie rzeczy i przygotowanie do przesiedlenia. Grzegorz miał szczególne obawy przed denuncjacją jakiegoś ukraińskiego miejscowego zwolennika władzy sowieckiej, bo według krążących pogłosek współpracował z legionistami polskimi podczas tzw. wyprawy kijowskiej i walk z bolszewikami. Dlatego w pierwszych miesiącach po wejściu Sowietów ukrywał się w miejscach znanych tylko żonie.

W nielicznych sklepach spółdzielczych i rajmagu (*rajonnyj magazin*) poza zapalkami, proszkiem do zębów, „*kuryszkami*” (to taki *niby-tytoń* z pokruszonych łądyg tytoniu) i *odikałonom* (wodą kolońską) można było tylko sporadycznie, po odstaniu w niekończących się kolejkach, kupić kilka metrów jakiegoś perkalu na sukienkę czy kordu na ubranie. Z reguły w tych sklepach kupowało się nie to, co było potrzebne, tylko to, co akurat sprzedawali. Starsze dzieci Grzegorza przerwały naukę w szkołach i podjęły prace zarobkowe. Aby jakoś przetrwać.

W takich warunkach musieli żyć wszyscy mieszkańcy Kresów aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w dniu 22 czerwca 1941 roku. Zniewolona i udręczona ludność Wołynia miała w związku z tym pewne nadzieje na odmianę swego marnego losu. O *Santa simplicitas!* Zmieniły się tylko formy ucisku i zbrodni. Nadmierne i całkowicie już bezpłatne dostawy produktów rolnych, całkowita likwidacja przetwórstwa rolnego, głównie młynów, kaszarni, olejarni, nie mówiąc nawet o uboju zwierząt hodowlanych, obowiązkowe dostawy mleka w ustalonych ilościach od każdej krowy, bezwzględny zakaz jakichkolwiek form handlu, brak zaopatrzenia w nawet podstawowe artykuły przemysłowe takie jak nafta, sól, zapalki, mydło. Do tego hitlerowski okupant wprowadził przymusowe wywózki młodzieży polskiej na roboty do Niemiec. Ofiarą wywózki padł m.in. najstarszy syn Grzegorza Waclaw, gdy wraz z grupą młodych z kolonii Rudni pod konwojem szucmanów ukraińskich w marcu 1942 roku został wywieziony na przymusowe roboty do Rzeszy. To tylko niektóre z form wyzysku i terroru mieszkańców Wołynia, a przede wszystkim ludności polskiej narodowości.

Ludność żydowską spędzono z okolicznych wsi i kolonii do utworzonych w większych osiedlach gett (m.in. w miasteczku Kołki), gdzie w niewyobrażalnie ciężkich warunkach żyli i umierali z głodu oraz chorób do czasu likwidacji tych gett. Likwidacja - jak wiadomo - oznaczała masowe wymordowanie tych ludzi przez funkcjonariuszy SS przy wydatnej pomocy ukraińskich policjantów tzw. szucmanów (*Schutzmannschaft*) latem 1942 roku. Młodzież polska, dotychczas unikająca wywózki na roboty przymusowe do Rzeszy, często ukrywająca się przed Niemcami, teraz „dobrowolnie” zgłaszała się do takich robót na rzecz niemieckich okupantów na miejscu aby uniknąć wywózki. Taką bezpłatną pracę podjął także 16-letni syn Grzegorza - Bolesław.

Gospodarstwo Grzegorza, podobnie jak innych polskich sąsiadów Rudni, upadało. Inwentarz żywy zmniejszył się do jednej krowy, jednej klaczy i jej półtorarocznego źrebaka, kilka kur i gęsi. Z ostatnich żniw roku 1942 udało mu się jeszcze uzyskać kilka worków żyta, które można było zemleć na własnoręcznie skonstruowanych żarnach, trochę ziemniaków, jakichś warzyw. To wszystko. Żyli z dnia na dzień bez nadziei na jakąś poprawę losu. Czasem dochodziły do mieszkańców Rudni jakieś, bliżej nie określone, wieści o sytuacji na frontach, że ci zwycięscy Niemcy już cofają się pod naporem Armii Czerwonej, ale nie był to powód do szczególnej radości. O sprawie Polski i Polaków na Kresach żadnych wieści.

Tymczasem Polakom na Wołyniu, zagroził nowy wróg. Był nim zbrodniczy nacjonalizm ukraiński, który rychło przybrał formę ludobójstwa ludności polskiej. Podburzone przez galicyjskich działaczy OUN, przy wsparciu miejscowego kleru prawosławnego i grekokatolickiego, ciemne, ogłupione masy chłopów ukraińskich pod przywództwem zorganizowanych zbrojnych grup bulbowski i banderowski, rozpoczęły masowo grabić i w okrutny sposób mordować swoich polskich sąsiadów.

Zapleczem zbrojnych band ukraińskich była powołana przez Niemców ukraińska pomocnicza policja tzw Schutzmannschaften, formalnie w służbie niemieckiej. Już w listopadzie 1942 roku policja ta, pod dowództwem zacieklego wroga Polaków - komendanta posterunku w Kołkach Pulinara Saczko (przed wojną nazywał się Apolinary Saczkowski) i przy wsparciu wojskowych władz hitlerowskich, przeprowadziła pacyfikację polskiej kolonii Obórki, mordując niemal wszystkich mieszkańców i paląc ich zagrody. Pretekstem była rzekoma współpraca Polaków z radziecką partyzantką. W wigilię Bożego Narodzenia tegoż 1942 roku szucmani uprowadzili z kolonii Rudni trzech jej mieszkańców: Jana Kosika - nauczyciela, Stefana Michałowskiego - urzędnika bankowego i Rogalińskiego - przedwojennego sekretarza Sądu Grodzkiego w Kołkach (ich zwłoki zostały znalezione i zidentyfikowane dopiero w maju 1943 roku w zakolu rzeki Styr). Był to już wyraźny sygnał dla Polaków jaki los może ich czekać w najbliższym już czasie.

Jeszcze w lutym 1943 roku dochodziły wieści o napadach ukraińskich band zwanych wówczas *bulbowcami* na polskie kolonie w sąsiednich powiatach: sarneńskim i kostopolskim, zaś w marcu już i w gminie Kołki noce zaczęły się czerwienić łunami palonych polskich sadyb. Na Rudni postanowiono zorganizować stałą straż nocną, której zadaniem byłoby czuwanie i alarmowanie mieszkańców w razie napadu *bulbowców* i umożliwienie napadniętym ucieczki. Organizacją tej straży zajął się Grzegorz. Kilkuosobowe patrole wyznaczane były spośród młodych chłopaków, których jeszcze Niemcy nie zdążyli wywieźć na roboty przymusowe.

W dniu 23 marca zdezerterowała z bronią w rękę z posterunku w Kołkach ukraińska policja, która zasiliła tworzący się kureń UPA Stepana Kowala ps. Rubaszenko. Tworzyły się już zwarte formacje banderowców. Na wyznaczone punkty zbiorcze ściągaly różne mniejsze grupy uzbrojonych band. Jedna z takich grup w nocy 3 kwietnia 1943 roku przemieszczała się ze wsi Sitnica na punkt we wsi Starosiele koło Kołek. Ich droga wiodła przez Rudnię, rozdzielając te dwie ukraińskie wioski (*seta*), a ściślej wiejską dróżką przez grunty Grzegorza, Kazimierza i Dominika Jabłońskich.

Tej nocy wartę pełnili: syn Grzegorza Bolesław i jego dwaj koledzy: Tadeusz Olszewski i Edward Jabłoński. Noc była pogodna. Księżyc w pełni jasno oświetlał drogę. Lekki mróz ściał lodem rozlewiska na bagnach i liczne kałuże po wybojach na drogach. Chłopcy zatrzymali się przy obejściu Grzegorza, gdy około północy usłyszeli turkot furmanki jadącej od strony wsi Sitnicy. Niemał w tej samej chwili rozległ się brzęk wybijanych szyb w oknach chaty Skirzewskich oddalonych od domu Grzegorza około 100 metrów. Chłopcy rozbiegli się do swoich domów aby zaalarmować rodziny i ratować się ucieczką w zarośla na bagnach. O losach rodziny Grzegorza mogły decydować już tylko sekundy, bo na drodze w kierunku jego domu już nadchodziła kilkudziesięciu osobowa grupa byłych szucmanów. Starsza córka Helena prawie dosłownie wyrwała z łóżek dwoje młodszego rodzeństwa: siostrę Józefę i brata Jana i kryjąc się w cieniu zabudowań stodoły i obory uciekła na duże bagno. Tu na dużej kępie dokończyły ubrania i okrywając się jakimś w pośpiechu porwanym kilimkiem, przycupnęły oczekując na dalszy rozwój wypadków.

W tym samym czasie Grzegorz z synem Bolesławem uciekli z domu, ale przypadli do ziemi w zaroślach niedaleko drogi, aby obserwować dalsze poczynania bandy. W zamieszaniu utracili kontakt z żoną Grzegorza - Wiktoria. W szuwarach na bagnie spotkali sąsiada Kazimierza Jabłońskiego, którego rodzina również zdążyła zbiec na bagna. Już wspólnie obserwowali ruchy nadchodzącej bandy. Był to duży oddział, liczący według naszych szacunków około setki banderowców, któremu towarzyszyła parokonna furmanka.

Czołówka zatrzymała się przy domu Grzegorza w oczekiwaniu na nadjeżdżający wóz i pozostałych członków oddziału. Następnie grupa ruszyła drogą obok zabudowań Kazimiera Jabłońskiego i skierowała się na groblę do Starosiela przy domu wdowy po Dominiku Jabłońskim - Franciszki. Po chwili usłyszeli rozpaczliwy krzyk Franciszki, która biegnąc na przelaj przez pola w kierunku domu Kazimierza wołała nieprzytomnie „O Jezu! O Jezu! Kaźmirz ratuj!!! O Jezu! W tym momencie padły dwa strzały z karabinu od strony zabudowań Kazimierza, po czym nastąpiła cisza. Leżący obok Grzegorza Kazimierz szepnął: „Zabili Frankie”. Banda odchodziła. Minęło jeszcze około godziny zanim odważyliśmy się zbliżyć do swoich domów. Obawialiśmy się zasadzki. Wreszcie można było odwołać alarm i pozbierać rozproszonych po krzakach na bagnach członków rodzin. Uciekając dosłownie w ostatniej chwili ani Grzegorz, ani syn Bolesław nie zauważyli kiedy i gdzie uciekła Wiktoria. Byliśmy przekonani, że ukryła się również w pobliskich szuwarach. Syn począł jej szukać i nawoływać do powrotu, ale bez rezultatu. Nikt się nie odzywał. W tej sytuacji zdecydował się na poszukiwanie jej w zabudowaniach, choć bardzo się bał podstępu Ukraińców. Cisza, jaka nastąpiła po odejściu bandy dawała nadzieję, że najście banderowców już się zakończyło. Zachowując maksymalną ostrożność, Bolesław spenetrował kolejno: chlew i kurnik, oborę, stodołę wreszcie cały dom wszędzie nawołując matkę. Bez rezultatu. I nagle ją zobaczył. Stała w kuchni w cieniu przy oknie nieruchomo jak skamieniała i nie reagowała na jego wołanie. Dopiero gdy ją objął ocknęła się i zaszlochała. Pytana dlaczego nie uciekła razem, powiedziała, że po prostu nie zdążyła, bo bandyci byli już na podwórku i bała się wyjść z domu, bo by ją od razu zauważyli.

Świtało, gdy zaczęli zwoływać ukrywających się mieszkańców Kolonii. Swoje rodzeństwo: Helę, Ziótkę i Jankę - Bolesław odnalazł krańcowo wyczerpanych i zziębniętych siedzących na jakiejś większej kępie na bagnie około pół kilometra od domu. Ojciec z sąsiadem Kazimierzem ruszyli na poszukiwanie Franciszki do której strzelano. Ponieważ jej nie znaleźli, udali się do jej mieszkania. Tutaj zastali troje płaczących nastoletnich dzieci siedzących w stodole przy nieprzytomnym, zmasakrowanym przez bandytów 20-letnim bracie Stanisławie. Rannego bezzwłocznie przewieźli do mieszkania Kazimierza, skąd został następnie przewieziony do Kołek, gdzie uzyskał pomoc od felczera. Stanisław przeżył. Przeżyła także jego matka Franciszka, której banderowiec nie trafił. Niestety, nie była to jedyna ofiara bandytów.

Z domu Skirzewskich uprowadzony został 16-letni Janek bliźni brat Stefana. W czasie najścia w domu był tylko jego ojciec Zenon i jego dwaj synowie. Zenon zdołał się ukryć na wyższe w stodółce, chłopcy wyrwani z łóżek nie mieli szans ucieczki. Nie wiadomo dlaczego banderowcy porwali tylko jednego chłopaka. Zapewne zginął on męczeńską śmiercią podczas „hartowania” nowych ochotników przyjmowanych do zbrojnych band rezunów. W ten bowiem sposób przygotowywano ich do bezlitosnego mordowania *Lachów* od niemowlaków do starców. Okazało się, że te ofiary były tym razem tylko przypadkowe, bo Rudnia nie była jeszcze celem zniszczenia.

Wydarzenia tej nocy relacjonuję tak szczegółowo, ponieważ dla wszystkich mieszkańców Rudni były ostatnim sygnałem do szukania ratunku przed uniknięciem zagłady. Od tego dnia już wszystkie noce ludność Rudni spędzała w miasteczku Kołki pod iluzoryczną „ochroną” resztek niemieckiego garnizonu i nowotworzonej policji z młodzieży polskiej. Była to taka, zresztą nieudana, próba zorganizowania takiej polskiej „*hilfspolizei*” do strzeżenia niektórych obiektów w miasteczku. Kilkunastu młodych mężczyzn wstąpiło do tej policji, bo wydawało im się, że wyposażeni w karabiny będą mogli skuteczniej bronić swoje rodziny w razie napadu banderowców. Była to oczywiście także dla rodziny Grzegorza ostatnia noc w domu rodzinnym. Dzień 3 kwietnia 1943 r. oznaczał początek końca kolonii Rudni.

Niektórzy mieszkańcy Rudni łudzili się jeszcze, że niemieckie władze okupacyjne spacyfikują gniazda banderowskie i przywrócą przysłowiowy niemiecki porządek, zapobiegając barbarzyńskim mordom ludności polskiej przez ich ukraińskich sąsiadów. Tacy, po nocy spędzonej w Kołkach, rano wracali do swoich zagród, aby obrządzić pozostawiony inwentarz żywy, przygotować posiłki. Bardziej przewidujący bezzwłocznie likwidowali resztki swoich gospodarstw i przenosili się z resztkami swojego dobytku do Kołek. Tutaj znajdowali tymczasowe schronienie w opuszczonych i zdewastowanych już domostwach byłych żydowskich właścicieli. Mieszkania te tylko w niewielkim stopniu zapewniały przysłowiowy dach nad głową. Uciekinierzy z okolicznych polskich wsi i kolonii, stłoczeni po kilka rodzin w jednej izbie, bez wody do picia, bez najbardziej podstawowych sprzętów i naczyń, często bez skromnych zapasów żywności, a nawet bez możliwości przygotowania pożywienia, żyli z dnia na dzień na krawędzi wytrzymałości ludzkiej. Kołki zapewniały zrozpaczonemu ludziom przeżycie, choć i to nie dawało pewności. Szczupła, bo zaledwie kilkusobowa niemiecka załoga miasteczka, nawet wzmocniona kilkunastu polskimi policjantami, nie dawała takich gwarancji. Niemcy sami żyli tu w zagrożeniu i to podwójnym, bo nie tylko ze strony niedawnych jeszcze przyjaciół, nacjonalistów ukraińskich, ale i ze strony coraz aktywniejszych partyzantów radzieckich. Niemal co nocy Niemcy ogłaszali alarmy, sami chroniąc się w budynku policyjnym wzmocnionym podwójnym obwałowaniem z bali i wypełnionym ziemią.

## **Etap VII - Kołki**

W jednym z takich pożydowskich „mieszkań” znalazła tymczasowe schronienie rodzina Grzegorza. Była to jedna izba w dawnym zajeździe niejakiego Joszke (mówiło się „Jośkowa chata”) z rozbitym oknem i drzwiami już bez klamki. Mieszkanie miało tę zaletę, że przy nim znajdowała się stajnia, gdzie można było trzymać krowę i parę koni, bo Jośko był przed wojną bałagulą i miał zawsze dobre konie. W miarę upływu dni gasła nadzieja na stały powrót do własnego domu. Jeszcze przez okres około dwóch tygodni Grzegorzowie, podobnie jak inni mieszkańcy Rudni, wracali rankiem na swoje gospodarstwo, aby obrządzić pozostawione na noc zwierzęta domowe, wydoić krowę, przygotować posiłki i przed nocą wrócić do Kołek.

W dzień banderowcy jeszcze nie atakowali, obawiając się odwetowej akcji pacyfikacyjnej ze strony Niemców, którzy pozorowali utrzymywanie bezpieczeństwa życia polskiej ludności. Jednakże bandy poczyniły sobie coraz zuchwalej. Do zorganizowanych zbrojnych grup banderowców (bulbowców) dołączali miejscowi Ukraińcy, do niedawna bliscy i nawet życzliwi sąsiedzi Polaków. Głównie w celach rabunkowych. Płądrowali opuszczone gospodarstwa, zagarniając wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Już się nawet nie kryli pod osłonę nocy. Kuzynkę Grzegorza - Marię Olbińską, która rano wróciła z Kołek do domu, młody rezun dopadł na podwórku i wbił jej nóż w plecy. Z tym nożem w plecach uciekła

resztkami sił do sąsiadów - ukraińskiej rodziny Wasiuchników, gdzie udzielono jej pomocy. Przeżyła. Żonę Grzegorza Wiktorię zaskoczyło nagle najście kilku młodych reżunów w momencie, gdy znajdowała się w kurniku. Szczęśliwie bandyci nie byli zainteresowani tym pomieszczeniem i wkrótce odeszli. Ocalała. Grzegorza, który raz nie zdążył przed nocą wrócić do Kołek i zaryzykował pozostanie na nocleg na swoim gospodarstwie, ale ze spaniem poza domem, naszedł dawny dobry sąsiad Ukrainiec Iwan Własiuk. Teraz jednak pełnił jakąś ważniejszą funkcję w powstającej UPA i z tej racji stał się śmiertelnym wrogiem Polaków. Chyba drzemały w nim jeszcze jakieś resztki litości, bo darował Lachowi życie i doradził mu, aby już nigdy więcej nie wracał na Rudnię: *Ty pane Hrešku wże tut bilsze ne przyżdżaj jak chcesz żyty . Wtikaj zwidcy .Tut zde was Lachiw smert` . Wtikaj!*

W tych okolicznościach mieszkańcy Rudni zaprzestali już tych codziennych wędrówek na noc do Kołek, rano do domów. Rodzina Grzegorza, zabrawszy najbardziej niezbędne do życia przedmioty codziennego użytku: odzież, pościel, naczynia, a także kilka worków zboża na chleb i ziemniaków, przeniosła się do miasteczka. Drób zlikwidowany został całkowicie, natomiast krowa „żywicielka” i konie znalazły miejsce w „Jośkowej chacie”. Tak więc ten exodus polskiej ludności, zamieszkałej w północnej części powiatu łuckiego, a ściślej w rejonie Kołek, rozpoczęli właśnie mieszkańcy Rudni.

Niemieckie lokalne władze okupacyjne, których głównym zadaniem - jak się wydaje - było egzekwowanie kontyngentów płodów rolnych od miejscowych mieszkańców i dostarczanie Tysiącletniej Rzeszy siły roboczej, nie miały więc większych kłopotów z organizowaniem grup młodzieży, które wywożono na przymusowe roboty w głąb Niemiec. Z Rudni, o czym już wspomniałem, już w marcu 1942 roku wywieziono niemal całą młodzież, głównie płci męskiej, w wieku od ukończenia 18 roku życia. Zostało niewielu i niepełnoletni. Z takich właśnie „resztek” Niemcy formowali kolejną grupę robotników wyznaczonych do wyjazdu.

Na liście tych *Zwangsarbeiterów* znalazła się córka Grzegorza 19-letnia Helena i 17-letni syn Bolesław. Ojciec, wiedząc już, że wyjazdu dzieci nie da się uniknąć, skontaktował się z niemieckim oficerem - lejtantem Reiholdem George, który tę grupę robotników organizował, w celu uzyskania jakiejś bliższej informacji o dalszych losach dzieci. Oficer ten dał wyraz zrozumienia trosce Grzegorza i przygotował odpowiednie imienne skierowania: dla Heleny - do pracy na własnym gospodarstwie rolnym w miejscowości Schabenu (obecnie Żabin w gminie Niechlów), dla Bolesława również do tej samej miejscowości, ale bez określenia przyszłego pracodawcy, którego miał wskazać miejscowy Burgemeister czyli sołtys. Rodzice byli już spokojniejsi co do najbliższej przyszłości tych dzieci, które pod nadzorem tegoż oficera wyjechały do wyznaczonego celu w dniu 21 kwietnia 1943 roku (lejtant R.George konwojował swoją grupę robotników tylko do Lublina, zaś dalszą drogę do wyznaczonych miejsc miały wskazywać już niemieccy funkcjonariusze Reichsbahn). W ten sposób rodzina Grzegorza zmniejszyła się o dalsze dwie osoby. Znacznie gorzej przedstawiała się sytuacja pozostałych.

Oprócz uciekinierów z Rudni do miasteczka zaczęli masowo przybywać polscy mieszkańcy innych wsi i kolonii z rejonu Kołek, m.in. z Antonówki, Majdanu Komarowskiego, Hołodnicy, Taraża, Żeleźnicy, Marianówki, Koszyszc. Także ci, którzy mieszkali na wsiach ukraińskich. Uciekali najczęściej w nocy, w czasie napadu bandy, przerażeni, często okaleczeni, nie zabierając z sobą nawet najpotrzebniejszych do przeżycia rzeczy czy żywności. Teraz stłoczeni do granic możliwości w pożydowskich zdewastowanych już izbach, w warunkach wprost niewyobrażalnej, skrajnej nędzy, trwali z dnia na dzień, niepewni czy to jutro jeszcze przeżyją. Co noc niebo wokół miasteczka czerwieniło się od łun

pożarów: to płonęły ich zagrody uprzednio splądrowane i ograbione przez ukraińskich sąsiadów. Najgorsza jednak była ta beznadziejność.

Niemiecka załoga miasteczka, zredukowana do kilku żołnierzy Wehrmachtu, którzy reprezentowali miejscowy Landwirtschaft i paru żandarmów wojskowych, nie zapewniała nawet minimum bezpieczeństwa ani dla siebie, ani tym bardziej dla stłoczonych polskich zbiegów. Zresztą wszystko wskazywało na to, że Niemcy już wkrótce na stałe opuszczą ten niebezpieczny rejon, praktycznie oddając go we władanie banderowcom.

Dla obłożonych w Kołkach Polaków zaświtała jednak nadzieja na przetrwanie, gdy bardziej operatywna młodzież nawiązała kontakt z oddaloną około 20 km polską kolonią Przebraże w gminie Trościaniec, gdzie miejscowi zorganizowali już zbrojną samoobronę. Wspólnie postanowiono bezzwłocznie ewakuować wszystką zgromadzoną w Kołkach ludność polską do Przebraża pod osłoną uzbrojonych członków samoobrony, wspieranych przez posiadających broń palną uciekinierów z Kołek. Władze niemieckie wydały bowiem Polakom kilkanaście sztuk sowieckich zdobycznych karabinów w celu - jak uzasadniono - obrony przed bandytami.

### **Etap VIII - Przebraże**

Wczesnym rankiem dnia 3 czerwca 1943 r. do Kołek dotarł na kilkudziesięciu furmankach uzbrojony oddział Przebrażan pod dowództwem komendanta samoobrony Henryka Cybulskiego. Bez zwłoki formowano kolumnę ewakuacyjną. Na podstawionych furmankach usadawiano przede wszystkim małe dzieci, chorych i zniedołężniałych starszusków oraz ich nędzne resztki osobistych rzeczy. Starsze dzieci i wszyscy dorośli musieli odbyć tę podróż pieszo. W nieco lepszej sytuacji byli ci, którzy zdołali uciec przed rezunami własnymi zaprzęgami. Ci mogli zabrać, oprócz podstawowych rzeczy osobistych, także trochę żywności, głównie zboża, jak również ocalone zwierzęta domowe: krowy czy parę prosiąt. Uformowana w największym pośpiechu kolumna wozów rozciągnęła się na około trzech kilometrach i około godziny 10-tej ruszyła w drogę do Przebraża. Czas naglił. Na miejsce musieli zdążyć przed nocą.

Grzegorz ze swoją rodziną był już przygotowany do wyjazdu. Cały swój dotychczasowy dorobek majątkowy zmieścił na jednokonnej furmance, do której z tyłu uwiązał na postronku krowę. Oprócz najbardziej niezbędnych do przeżycia w warunkach obozowych rzeczy - trochę pościeli, resztek odzieży i kilku naczyń - zdołał jeszcze załadować parę worków żyta na chleb i owsa dla koni. To wszystko, co mogła uciągnąć jego klacz Maszka przy niewielkiej pomocy 1,5-roczonej klaczki, po raz pierwszy zaprzężonej do wozu. Kolumna utknęła już na piątym kilometrze właśnie na Rudni przy przeprawie przez rzeczkę Rudkę. Banderowcy, nie chcąc wypuścić Polaków z otoczonych przez nich ze wszystkich stron Kołek, zdążyli w tym dniu podpalić drewniany most. Uciekinierzy zastali tylko dogasające fragmenty mostu i byli zmuszeni do przeprawy w bród, co znacznie zahamowało pochód. Korzystając z chwilowego zatrzymania kolumny, dzieci Grzegorza Ziutka i Janek zdążyli jeszcze pobiec do domu, skąd zabrali z kuchni żeliwną płytę z tzw. fajerkami, niezbędną do urządzenia prowizorycznej kuchni w warunkach polowych. To było zarazem ich pożegnaniem na zawsze rodzinnego domu.

Grzegorz swoją Rudnię, a właściwie tylko miejsce gdzie istniała, mógł ostatecznie pożegnać późną wiosną 1944 roku, gdy już z nakazu władz sowieckich (jako podwoda) musiał udać się z Kiwerc do Kołek. Wtedy na byłej już kolonii, ostała się tylko jedna chata Szymona

Niżyńskiego, zajęta teraz przez ukraińską rodzinę jego sąsiada Płatona, którego zagroda została spalona przez samych banderowców podobno z zemsty za odmowę współpracy. Wtedy w Kołkach Grzegorz spotkał znajomego Ukraińca z Sitnicy, od którego dowiedział się, że jego (Grzegorza) dom nie został spalony tylko rozebrany i przeniesiony właśnie do Sitnicy przez jednego z mieszkańców tej ukraińskiej wsi: *Ja wam, pane Hrešku, pokażu hde teper stoit wasza chata*. Grzegorz jednak nie skorzystał z tej propozycji.

Był już wieczór, gdy kolumna uciekinierów z Kołek dotarła do Przebraża. Przybysze zaczęli szukać jakichkolwiek pomieszczeń w zabudowaniach gospodarczych Przebrażan, bowiem o miejsca w domach mieszkalnych nie było można nawet marzyć. Często nawet w jednej izbie tymczasowe schronienie znajdowało kilka mniejszych rodzin. Grzegorz ze swoją trzyosobową rodziną znalazł przysłowiowy „dach nad głową” w stodole dalekiego powinowatego Paczkowskiego, którą dzielił jeszcze z trzema rodzinami wygnańców. Ważne, że jest jakieś schronienie przed deszczem. Lato w pełni. Można i trzeba wytrzymać i czekać na odmianę losu, którego nikt nie mógł przewidzieć. Zewsząd napływali wciąż nowi uciekinierzy. Zorganizowana przez komendanta cywilnego samoobrony Ludwika Malinowskiego tymczasowa administracja utrzymywała jednak ład w tym około 20-tysięcznym zbiorowisku przerażonych ludzi.

Uciekinierzy solidarnie dzielili się żywnością i podstawowymi przedmiotami, niezbędnymi do przeżycia. Ważne, że uniknęli męczeńskiej śmierci z rąk ukraińskich morderców, niedawnych sąsiadów i bliskich znajomych, a czasem nawet powinowatych. Niemieckie władze okupacyjne już nawet nie reagowały na jawne bandyckie napady na polskie osiedla. Jeszcze przed rokiem za posiadanie jakiegokolwiek broni palnej bez zgody Niemców groziła kara śmierci. Teraz nie tylko „przymknęli oko” na silnie już uzbrojoną samoobronę Przebraża, ale nawet wydali załozde tej samoobrony kilkanaście sztuk zdobycznych sowieckich karabinów i spore ilości amunicji do obrony przed - jak to uzasadniali - bolszewickimi bandytami, bo tak nazywali sowieckich partyzantów, choć doskonale wiedzieli, że sprawcami napadów były zorganizowane już oddziały banderowców i obalamucona przez nich ukraińska ludność miejscowych osiedli. Ta broń była dla Przebrażan doskonałą przykrywką właściwego uzbrojenia samoobrony, które w tym czasie było już znaczne. Obrońcy posiadali na stanie uzbrojenia broń maszynową, a nawet lekkie sowieckie moździerze.

Przebrażanie spodziewali się napadu. Byli przecież solą w oku nacjonalistów z OUN, którzy jawnie już - przy wsparciu kleru, zarówno prawosławnego jak i grekokatolickiego - nawoływali ciemny lud ukraiński do wymordowania wszystkich Polaków zamieszkałych na Kresach bez względu na wiek i płeć, od niemowląt do starców w celu utworzenia *Samostijnej Ukrainy*. Dowództwo wojskowe samoobrony zorganizowało swoich członków na wzór wojskowy w kompanie, stosując bezwarunkowy obowiązek uczestniczenia w niej wszystkich mężczyzn zdolnych do walki, także na białą broń (siekiery, piki, widły, pałki). Ci ostatni pełnili także stałe nocne warty i stanowili rezerwę obrońców na wypadek przedarcia się banderowców przez linie obrony. Grzegorz był zaliczony do tej rezerwy i wszystkie noce spędzał na patrolowaniu wyznaczonego odcinka. Sypiał kilka godzin w ciągu dnia na wyżce w stodole. Żyli w skrajnej nędzy, głodowali niemal wszyscy, także stali mieszkańcy Przebraża .

W nocy z 4 na 5 lipca banderowcy dużymi siłami zaatakowali Przebraże ze wszystkich stron jednocześnie, podpalając okoliczne zabudowania Polaków. Obrońcy z wielkim trudem odparli te ataki, ale kosztem kilkunastu ofiar. Walki trwały całą noc i następny dzień. Dopiero



wieczorem bandy wycofały się w kierunku Trościańca i Kołek. Zapanował okresowy spokój. obrońcy zacieśnili system obrony, rozbudowali rowy strzeleckie i stałe punktu ogniowe (prowizoryczne bunkry), uzupełnili zasieki z drutu kolczastego, patrolowali okolicę. Wiedzieli, że to jeszcze nie koniec walki o życie.

Po tym napadzie wiele rodzin Polaków opuściło przebrażeńską samoobronę, udając się do Kiwerc i Łucka, gdzie mogli jeszcze oczekiwać jeszcze jakiejś ochrony ze strony okupacyjnych władz niemieckich. Kilka rodzin, m.in. sąsiad Grzegorza Kazimierz Jabłoński, zdecydowało się na wyjazd na roboty do Niemiec. Grzegorz również podjął próbę przetrwania w bardziej znośnych warunkach i przeniósł się do Kiwerc, choć miejscowa administracja samoobrony niechętnie godziła się na opuszczanie przez ludzi Przebraża, zwłaszcza młodych mężczyzn, bo to osłabiało siły samoobrony. W Kiwercach „zamieszkał” w niewielkiej komórce, którą zaoferował mu znajomy sprzed wojny kierownik tartaku, niejaki Krutina, z pochodzenia Rosjanin, który teraz pracował przymusowo na rzecz III Rzeszy. Rodzina Grzegorza wprawdzie nadal żyła w skrajnej nędzy, ale warunki bytowania stały się nieco znośniejsze. Niestety, w listopadzie Krutina, ubolewając wymówił im i to nędzne pomieszczenie, ponieważ musiał dać schronienie jakimś swoim krewniakom, którzy uciekli przed banderowcami ze swoich wsi. Próba znalezienia innego lokum w Kiwercach nie powiodła się Tymczasem zbliżała się pora zimowa. Trzeba było wracać na Przebraże i tam szukać jakiegoś rozwiązania. Była połowa listopada. Tymczasowa administracja samoobrony musiała jakoś rozwiązać problem zakwaterowania wszystkich uchodźców w porze zimowej. Postanowiono maksymalnie zagęścić zakwaterowanie ludzi w chatach, aby zmieścić wszystkich, którzy dotychczas koczowali w stodołach, szopach czy szałasach.

Grzegorzowi z rodziną wydzielono jeden z czterech kątów dość obszernej izby z glinianą polepą w poukraińskiej chałupie, zwanej tu „Hryciową Chatą”. Drugi kąt izby zajęła rodzina Skirzewskich, zaś dwa pozostałe kąty pięciosobowa rodzina Antoniego Szpryngiela. Kuchnię, z której miały korzystać wszystkie te rodziny, praktycznie objął w swoje posiadanie Piotr Szpryngiel zwany Pietryczkiem ze swoją trzyosobową rodziną. Każda z tych rodzin w swoim kącie ustawiła *nary*, czyli taką prymitywną kilkusobową pryczę z desek, na której spano i w zasadzie spędzano całe dnie. Pod tymi narami przechowywano swoje rzeczy. W takich warunkach trudno byłoby mówić o komforcie. Jakąś pociechą było tylko to, że są w miarę bezpieczni, że zima trwa tylko parę miesięcy, wreszcie pojawiła się nadzieja na rychłą już zmianę losu. Wieści, jakie dochodziły do sponiewieranych ludzi, wskazywały już na nadchodzące zmiany. Niemcy pod naporem Armii Czerwonej wycofują się szybko na zachód. Wkrótce więc Wołyń przejmą władze sowieckie, które spacyfikują bandyckie osiedla ukraińskie, przywracając swoje poprzednie porządki. Trzeba przyznać, że za tymi sowieckimi porządkami nikt z Polaków specjalnie nie tęsknił, wszak pamiętali ich rządy sprzed trzech lat (więzienia, zesłania, obowiązkowe dostawy, braki w zaopatrzeniu, łagry), ale w obliczu ludobójstwa nacjonalistów ukraińskich wydawało się to jedynym wybawieniem. Nadzieję na poprawę losu dawały także wiadomości, że wraz z Armią Czerwoną walczą z Niemcami także Polacy z Armii Polskiej, która powstała w ZSRR. Znaczyło by to, że teraz jesteśmy *sojuznikami*.

Grzegorz naturalnie brał czynny udział w obronie Przebraża, któremu nadal groziło niebezpieczeństwo ze strony banderowców, a którzy po wchłonięciu siostrzanych band bulbowskiich przyjęli nazwę *Ukraińska Powstańska Armija* (UPA). Przebrażanie nie tylko umacniali swoją obronę, ale także podejmowali akcje odwetowe bądź wyprzedzające czy odstrasżające. Ich celem była głównie demonstracja siły, ale także pozyskanie żywności (zboża) dla głodujących uciekinierów czy też odzyskiwanie zrabowanego przez Ukraińców

bydła. Grzegorz posiadał sprawny zaprzęg konny, więc uczestniczył w tych wypadach. Takimi były wyprawy do Omelna po zboże zebrane przez ludność ukraińską m.in. z pól polskich sąsiadów, a także wypad silnym oddziałem w dniu 23 listopada do bardziej odległej ukraińskiej wsi Żurawicze po zrabowane Polakom krowy. W dniu 13 stycznia 1944 roku Przebrażanie pośpieszyli na pomoc Polakom, którzy ostatkiem sił bronili się w zamku Radziwiłła w Ołyce.

W dniu 30 stycznia 1944 roku do Przebraża wkroczyły pierwsze oddziały Armii Czerwonej, a w ślad za wojskiem liniowym przybyły służby bezpieczeństwa czyli formacje wojsk NKWD i NKGB (*Narodnyj Komissariat Gosudarstwiennoj Bezopasności*). Błdy strach padł na miejscową ludność ukraińską. Sowieci doskonale znali działalność nacjonalistów ukraińskich spod znaku *tryzuba*, zwłaszcza ich zbrojnych oddziałów na terenach tzw. Zachodniej Ukrainy, w szczególności zaś ich zbrodnicze akcje eksterminacyjne skierowane przeciwko Polakom, a także komunistom i sympatykom ZSRR. Właśnie dzięki miejscowym aktywistom, ukraińskim komunistom i agentom NKGB, władze sowieckie miały szczegółowe rozeznanie w przedmiocie uczestniczenia młodych Ukraińców w zbrojnych oddziałach UPA. Rozpoczęły się pacyfikacje. Zgodnie ze stalinowską polityką stosującą odpowiedzialność zbiorową sankcjom karnym podlegały także rodziny rzeczywistych czy podejrzanych członków UPA. Dochodzenia nie były zbyt skomplikowane: funkcjonariusz NKGB, mając spis mieszkańców danej wsi, pytał domowników: gdzie jest teraz syn, mąż czy brat. Rodzina tłumaczyła zwykle, że jest w Armii Czerwonej od roku 1940, ale jeśli nie potrafiła w jakiś sposób tego udowodnić w formie pisemnej, dostawała nakaz przesiedlenia w głąb ZSRR jako *spiecpere sieleńcy*. Na stację w Kiwercach ciągnęły więc całe kolumny furmanek z rodzinami banderowców, gdzie formowano składy pociągów wywożących tych *faszystów* (tak ich wówczas nazywano) do odległych regionów ZSRR, głównie w tajgi Syberii lub w stepy Kazachstanu. Nie można powiedzieć, że Polacy im współczuli...

## **Etap IX – Kiwerce**

Grzegorz jednak sporo zapłacił za to oswobodzenie, bowiem czerwonoarmiści niemal natychmiast zabrali mu jego ulubioną klacz Maszkę, w zamian pozostawiając krańcowo zmarniałego mongolskiego konika, który już się nie nadawał do zaprzęgu i dalszej wojaczki. Oplakawszy stratę Grzegorz bezzwłocznie przeniósł się wraz z rodziną do Kiwerc, gdzie zamieszkał w domku kolejjarza, niejakiego Juchniewicza, którego żona, z pochodzenia Niemka, prawdopodobnie wyjechała dalej na zachód w obawie przed zbliżającym się frontem i szykanami ze strony władz sowieckich. Może i nie było to zbyt bezpieczne miejsce ze względu na bliskość ważnej strategicznie stacji kolejowej, którą Niemcy w tym czasie niemal codziennie bombardowali, ale dalsze życie w „Hryciowej Chacie” było już wręcz fizycznie niemożliwe.

Teraz trzeba było pomyśleć także o zaopatrzeniu w żywność, co w pierwszych miesiącach po przejęciu władzy przez Sowieców nie było sprawą prostą. Wyprawy po zboże na ukraińskie wsie się skończyły. Żadnych przydziałów produktów żywnościowych dla niepracujących nie było. W tej sytuacji Grzegorz wpadł na pomysł dostarczania drewna opałowego dla ludności zamieszkałej w Łucku. Była wszak zima, mieszczychy musiały się ogrzewać, o węglu nawet marzyć nie było można. Lasów dokoła Kiwerc nie brakowało. Można było także skorzystać z kłocowiska przy jeszcze nieczynnym tartaku, gdzie Niemcy zgromadzili duże zapasy pni do przetarcia. Władze sowieckie jeszcze nie wprowadziły jakichś zakazów w korzystaniu z drewna dla celów grzewczych. Grzegorz przy pomocy

swojego najmłodszego syna Janka ciął pnie na krótkie klocki, które następnie łupał na polanka. Tak przygotowane drewno ładował na sanki i przy pomocy swojego „mongołka” odstawiał do Łucka, gdzie wymieniał na mąkę czy kaszę, czasem olej lniany. W Łucku zaczął już odżywać handel bazarowy.

Ponieważ walki frontowe przeniosły się dalej na zachód, Niemcy zaniechali bombardowań stacji kolejowej. Było bezpieczniej. Grzegorz znalazł także zatrudnienie na stacji przy przeładunkach towarów na potrzeby frontu. Zajęcie było lichy płatne, ale ważniejsze były skromne przydziały produktów żywnościowych, które pracownicy mogli nabyć w specjalnych punktach sprzedaży. Swojego „mongołka” sprzedał i kupił dwuletniego konika, właściwie jeszcze żrebaka, którego dotychczasowy właściciel rad był się pozbyć, bo żreback cierpiał na jakąś chorobę skórą. Mówił, że koń poparzył się pokrzywą. W istocie był poparzony, ale nie pokrzywami tylko barszczem Sosnowskiego, o czym wówczas jeszcze nie wiedzano. Grzegorz wkrótce wyleczył tego konika, którego nazwał Maziakiem i który stał się jego ulubieńcem.

Kiedy już wydawało się, że najgorsze minęło, na rodzinę spadło nowe nieszczęście - ciężko zachorowała żona Grzegorza Wiktoria. Zmogły ją nadmierne trudy wygnania: niedożywienie, brak podstawowych środków utrzymania higieny, zmartwienia powodowane niepokojem o dzieci, ciągły stres - to główne przyczyny, które podcięły jej zdrowie. W szpitaliku kiwerzeckim, gdzie Wiktoria umieszczono, nawet nie zdiagnozowano choroby. Brak było lekarzy specjalistów i podstawowych leków. Jedynym lekarzem w szpitalu był doktor Henryk Kałużyński, a pomagał mu felczer Piotr Błażejczyk. Na szczęście stanem chorej zainteresował się sowiecki lekarz wojskowy, który wizytował ten szpitalik. Oczywiście miał on o wiele lepsze możliwości zdobycia odpowiednich leków, a także wyższą wiedzę i praktykę lekarską więc po dwóch tygodniach Wiktoria zaczęła wracać do zdrowia i mogła dalszą kurację odbywać w domu. Później często wspominała tego „ruskiego doktora” z wielką sympatią i szacunkiem. Twierdziła, że tylko jemu zawdzięcza dalsze życie i zdrowie, co niezawodnie było prawdą.

W maju tego roku w rejon Kiwerc przybyły oddziały Wojska Polskiego walczące z Niemcami na froncie wschodnim. Po zmobilizowaniu Polaków z zajętych przez ZSRR części Kresów i uzupełnieniu stanu osobowego, tu przeformowano I Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR w I Armię Wojska Polskiego. Żołnierze tej Armii wzięli udział w operacji bojowej Brześć – Lublin, a następnie wraz z Armią Czerwoną doszli do Wisły. Do Polaków w Łucku rychło dotarła wiadomość, że w Chełmie powstał nowy rząd polski pod nazwą Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) i że teraz granica Polski z ZSRR będzie na Bugu. Znaczyło to, że ludność polska na Wołyniu znowu będzie zaliczona do obywateli ZSRR. Nie była to dobra wiadomość, zwłaszcza, że ta nowa granica była już pilnie strzeżona przez sowieckich pograniczników, co uniemożliwiało polskim uciekinierom wyjazd do Polski Centralnej.

Grzegorz, korzystając z sowieckiej ochrony wojskowej, wiedziony już tylko ciekawością zrobił wypad do Kołek. Po drodze zajrzał na Rudnię, a raczej na miejsce, gdzie ta jego Rudnia była. Zastał bowiem tylko zgłiszczka i sterczące z popiołów resztki kominów. Ocalał tylko jeden dom Szymona Niżyńskiego, w którym zamieszkała teraz rodzina Ukrainca Płatona, jego sąsiada. Już wiedział, że tu nigdy nie wróci i to bez względu na okoliczności, w jakich jemu i jego rodzinie żyć przyjdzie.

W końcu lutego rozeszła się wieść, że Polacy z Kresów będą repatriowani do Polski, zaś Ukraińcy przesiedleni z Polski do ZSRR. W Łucku zaczął urzędowanie pełnomocnik Rządu Polskiego ds. Repatriacji. Jednak w tym początkowym okresie repatriacja odbywała się w sposób słabo zorganizowany. Tylko części chętnych zgłaszających się polskich wygnańców udało się zdobyć odpowiednie dokumenty i legalnie wyjechać do Polski. Ci osiedlali się głównie na terenie województwa lubelskiego - w powiatach: chełmskim, hrubieszowskim, zamojskim, krasnostawskim i biłgorajskim na gospodarstwach poukraińskich. Dalsza repatriacja Polaków miała się już odbywać w sposób planowany i - oczywiście! - całkowicie dobrowolny. Organizację przejął powołany przez Rząd Tymczasowy Państwowy Urząd Repatriacyjny, który - działając przez Oddziały Powiatowe PUR - przystąpił do sporządzania list osób wyrażających wolę repatriacji.

Grzegorz zgłosił swój wyjazd do Polski już w marcu 1945 roku w Punkcie Repatriacyjnym w Kiwercach, jednak dopiero w kwietniu poczęto formować kolejowy transport repatriowanych. Główną przyczyną zwłoki były kłopoty z uzyskaniem od kolejowych władz sowieckich wagonów, bowiem większość taboru kolejowego służyła potrzebom wojska. Wszak wojna jeszcze się nie zakończyła. Był początek maja, gdy wreszcie repatrianci mogli załadować się z resztkami swojego ruchomego mienia do podstawionych na bocznicach krytych wagonów towarowych. Połowa wagonu była przeznaczona dla inwentarza żywego (konie, krowy), połowa zaś dla ludzi, sprzętu gospodarstwa domowego, pościeli, odzieży i innych przedmiotów użytkowych. Grzegorz nie posiadał już w tym czasie większego majątku ruchomego. Do wagonu wprowadził swojego konia Maziaka, krowę, wóz konny, paszę dla tych zwierząt, po drugiej stronie ustawił dwa łóżka, jakieś sprzęty domowe, naczynia, pościel, trochę żywności. Wszystko.

Był 8 maja, gdy wreszcie wyruszyli do tej nowej Polski, w nieznaną. Nikt nie wiedział dokąd zostanie skierowany transport. Tylko ogólnie mówiono, że jadą na Ziemię Odzyskane, znaczy odebrane przez Sowietów Niemcom i oddane Polsce za zabrane Kresy. Jechali jakimiś bocznymi liniami kolejowymi, bo główne szlaki zajmowały wojska sowieckie, zarówno te, które wracały po wojnie do ZSRR, jak i te, które wywoziły zdobyczny majątek poniemiecki - przez Równe - Dubno - Brody - Lwów - Przemyśl - Skarżysko - Łódź - Inowrocław - Toruń - Iławę - Prabuty - Malbork .

## **E t a p X - Malbork**

Po dziesięciodniowej podróży, z licznymi postojami na bocznicach kolejowych, a nawet w szczerym polu przed wjazdami na stacje, dojechali wreszcie do miasta Malborg, bo tak się wtedy nazywało to ponemieckie miasto Marienburg. Byli pierwszym transportem repatriantów z Kresów, właśnie z Łucka. Formalnie miasto było jeszcze pod zarządem sowieckiego wojennego komendanta, chociaż faktyczne Polacy zaczęli przejmować miejscową administrację. Urzędował już starosta powiatowy, PUR, urząd stanu cywilnego, zawiadowca stacji PKP, poczta, drukarnia, nowe nazwy ulic. Samo miasto, zwłaszcza śródmieście, było w dużym stopniu zniszczone wskutek działań wojennych. Ulice zalegały stosy gruzu, szkła, papierów i innych śmieci. Tylko niektóre z budynków, po oszkleniu okien i niewielkim remoncie, nadawały się do zamieszkania. Miasto plądrowali nie tylko czerwonoarmiści, ale również różne grupy szabrowników przybyłych tu z Polski centralnej w celu rabowania mienia pozostawionego przez niemiecką ludność, która w pośpiechu uciekała przed nacierającymi wojskami sowieckimi. W takich warunkach repatrianci z pierwszego transportu z Łucka rozpoczynali nowe życie własne i miasta Malborka.

Grzegorz z rodziną zamieszkał w ocalałej kamienicy przy ul Chopina. W sąsiedztwie zamieszkali także krewniacy z Marianówki i Hołodnicy, sąsiedzi z Rudni. Sami swoi. Nie wszyscy jednak zamierzali wiązać swoje dalsze życie z Malborkiem. Kresowa ludność wiejska, która nagle znalazła się w obcym jej środowisku miejskim, a w dodatku niepewnym, bo różne plotki szerzyły się odnośnie do tych Ziem Odzyskanych, także m.in. przepowiadające powrót ludności niemieckiej na tereny oddane tymczasowo Polsce, traktowała swój pobyt w Malborku jako tymczasowy. Stałego miejsca zamieszkania trzeba szukać gdzieś w Polsce centralnej. Oczywiście na wsi, bo tylko wieś stwarza trwałe podstawy bytu. Tę swoistą filozofię chłopską wyznawał także Grzegorz. Poczta już działała dość sprawnie, więc między Kresowianami, którzy w różnym czasie byli repatriowani i osiedlali się w różnych regionach Polski, poczęły krążyć listy. Odezwali się osiedleni w Wielkopolsce, na Kujawach, na Lubelszczyźnie, Mazowszu. Ziemie zachodnie w ówczesnej opinii wciąż były jeszcze niepewne, choć Opolszczyznę zaczęli zasiedlać na stałe nawet ci, co próbowali znaleźć swoje miejsce w innych regionach Kraju.

Kuzyn Grzegorza, jego sąsiad z Kiwerc, Franciszek Jabłoński, repatriant z pierwszego rzutu, który osiedlił się we wsi Nowosiółki w gminie Chełm obejmując opuszczone przez poprzedniego ukraińskiego właściciela gospodarstwo rolne, kuśił: Przyjeżdżaj Grzesiek tutaj! Jest jeszcze dużo wolnych sporych gospodarstw opuszczonych przez Ukraińców wskutek przymusowego ich przesiedlenia do ZSRR. Trafiło to do przekonania Grzegorza. Zdecydował się na wyjazd na wschodnie tereny Polski, bardziej swojskie. Za pośrednictwem PUR-u w Malborku załatwił sprawę wynajmu wagonu i przewozu do Rejowca Fabrycznego, załadował z powrotem swoje zwierzęta, wóz, meble i resztę swojego dobytku i w drogę do tych Nowosiółek.

## **Etap XI - Nowosiółki**

Tym razem podróż trwała „tylko” 3 dni. Wyładowali się z wagonu w Rejowcu Fabrycznym i własnym jednokonnym zaprzęgiem, z uwiązaną z tyłu wozu krową, dotarli do Nowosiółek. Zamieszkali tymczasowo w jednym z pokoi w domu Franciszka Jabłońskiego. Rodzina się powiększyła, bo tu właśnie dołączył syn Bolesław, który po wojnie powrócił z robót przymusowych do Kraju już w lutym i dotychczas bezskutecznie próbował odszukać rodzinę. Córka Helena, po powrocie z robót przymusowych, zamieszkała ze swym narzeczonym Kazimierzem Dobrowolskim w jego rodzinnej wsi Gruszewnia w powiecie Kłobucki. O najstarszym synu Wacławie tymczasem nie mieli jeszcze żadnych wiadomości .

Grzegorz bez zwłoki rozpoczął poszukiwania gospodarstwa, które nadawałoby się do zasiedlenia na stałe. Spenetrował samą wieś i kolonię Nowosiółki, także inne okoliczne wsie: Ochorze, Parypse, Staw, Bezek i inne, ale nic nie przypadło mu do gustu. Chałupy drewniane, stare, kryte strzechą, najczęściej dwuizbowe, zabudowania gospodarcze liche, grunty rozdrobnione przez działą spadkowe, często o wymiarze jednego, trochę szerszego zagonka. Lepsze gospodarstwa już pozajmowali polscy repatrianci, którzy tu wcześniej przybyli. Rozczarowany, nie bardzo już wiedział jak i gdzie szukać jakiegoś przyzwoitszego miejsca stałego zamieszkania.

Wtedy otrzymał list od swojej siostry Heleny Skirzewskiej, która ze swoją rodziną osiedliła się we wsi Konary w powiecie inowrocławskim . Skirzewscy wraz z kilku innymi sąsiadami z Rudni jechali do Polski tym samym transportem, ale odłączyli się od transportu w Inowrocławiu. Teraz siostra Helena zapraszała brata do przyjazdu do Konar i do objęcia połowy dużego gospodarstwa poniemieckiego, bowiem jej rodzinie nie przysługuje prawo

do objęcia tak dużego gospodarstwa, a nie chce go dzielić z kimś zupełnie obcym. Żona Grzegorza Wiktorii z gruntu była przeciwna tej propozycji. Dobrze poznała swoją szwagierkę jeszcze na Rudni, gdzie Helena była skłócona okresowo niemal z wszystkimi swoimi sąsiadami. Była popędliwa, szybko się obrażała i wpadała w niepohamowany gniew. I zawsze miała jakieś pretensje do brata. Zamieszkanie w bezpośrednim sąsiedztwie Skirzewskich nie rokowało dobrze.

Grzegorz niby zgadzał się z żoną, ale postanowił pojechać do tych Konar i rozejrzeć się w sytuacji. Nie wiadomo jakich argumentów użyła siostra Helena, dość że - po powrocie do Nowosiółek - Grzegorz stanowczo oznajmił: jedziemy do Konar.

Bezzwłocznie sprzedał krowę i kupił drugiego konia, ponieważ w gospodarstwie, którego połowę miał objąć, było 5 krow, z czego 2 sztuki miały przejść na własność Grzegorza, natomiast brak było koni potrzebnych do pracy w tak dużym, 25 ha gospodarstwie. Skirzewscy posiadali tylko jednego konia.

## **Etap XII - Konary**

Był początek września, gdy Grzegorz ze swoją, teraz już powiększoną rodziną, załadował się w Rejowcu Fabrycznym do podstawionego towarowego wagonu z całym swoim dobytkiem: parą koni, wozem, meblami, pościelą, odzieżą i przedmiotami gospodarstwa domowego i ruszył w drogę. Podróż nie trwała długo, bo już trzeciego dnia rano przybyli do Inowrocławia, skąd dwiema furmankami (drugi wóz podstawili syn Heleny – Kazimierz) dotarli do odległych o 20 km Konar. Skirzewscy przyjęli rodzinę Szpryngielów nadzwyczaj ciepło. Ugościli, wskazali im ich część domu i całego gospodarstwa, podzielili sprawiedliwie inwentarz żywy i martwy, także tegoroczne, poniemieckie jeszcze plony, wskazali grunty należące do gospodarstwa. Wreszcie jakaś nadzieja na stabilizację. Reszta będzie zależała już tylko od pracy i woli rodziny Grzegorza.

Niestety, ten przysłowiowy „miodowy miesiąc” już wkrótce miał się skończyć. Proroce okazały się przepowiednie żony, że takie sąsiedztwo nic dobrego nie wróży.

Siostrzana miłość Heleny ostygła w miarę upływu czasu i przybywania Skirzewskim rodzinnym rąk do pracy. Właśnie powrócił z robót przymusowych z Niemiec najstarszy syn Kazimierz ze swoją narzeczoną Bronisławą Szmyrgałówną, a także młodszy syn Stanisław po demobilizacji. W domu zrobiło się już za ciasno, więc i stosunki między rodzinami oziębły się znacznie. Wreszcie po trzech miesiącach tej „wspólnoty” doszło do takich nieporozumień, że dalsze zamieszkiwanie w jednym gospodarstwie stało się niepodobieństwem.

## **Etap XIII - Chlewiska (Nowiny)**

W takiej sytuacji Grzegorz postanowił się uniezależnić. Za pośrednictwem Gminnego Urzędu Ziemskiego upatrzył gotowe do objęcia przez repatriantów poniemieckie, 17-sto hektarowe gospodarstwo rolne we wsi Chlewiska w gminie Dąbrowa Biskupia, a właściwie w jej przysiółku zwanym nieformalnie Nowinami.

Dom murowany z cegły (trzy pokoje, kuchnia i sień), duża stodoła, stajnia dla koni i obora, wprawdzie z zerwanym przez letnią burzę dachem, ale nadająca się do użytku (trzeba i można odbudować), chlew dla trzody, wozownia, a w niej piękny wolant, studnia z dobrą wodą

tuż za progiem, na obszernym podwórku kierat. Całość zabudowań ogrodzona parkanem. Za płotem zagroda letnia dla bydła, dalej sadzawka, obok spory ogródek warzywny i sadek. Gospodarstwo było także dobrze wyposażone w narzędzia rolnicze: pługi, wielorzędowy opielacz i radło, nowa żniwiarka, snopowiązałka, mała młockarnia napędzana kieratem, wialnia, brony różne. W oborze stały trzy dojne krowy. Poprzedni właściciel, Niemiec nazwiskiem Schieman vel Szyman, był więc zamożnym rolnikiem.

Grzegorz, jako repatriant, na podstawie karty repatriacyjnej i dokumentów potwierdzających jego stan posiadania majątku na Wołyniu, bez problemu i zwłoki uzyskał w Urzędzie Ziemskim prawny tytuł nabycia tego gospodarstwa i na początku grudnia 1945 roku przeniósł się z Konar na swoje nowe gospodarstwo na Nowinach.

Grunty były zróżnicowane, ale przeważały niezłe gleby kujawskie. Jednak najważniejszym było to, że wreszcie skończy się ta tułaczka i tylko od pracy całej rodziny będzie zależała stabilizacja i dostatnie życie. W marcu następnego roku otrzymał z darów U.N.R.A dobrą, młodą klacz do pary swojego ogiera Maziaka. Siwka, którym przyjechał do Konar musiał bowiem sprzedać jeszcze w listopadzie, gdy odkrył jego znaczne wady.

Trochę niepokoiło Grzegorza raczej umiarkowane zainteresowanie dzieci (zwłaszcza synów) nabytym gospodarstwem. Także stan zdrowia wyraźnie już się pogarszał (astma), ale pomyślny rok 1946 obawy te przytłumił. Niestety, następne lata nie rokowały najlepiej. Syn Bolesław, który teraz praktycznie biorąc wykonywał - z pomocą młodszych: córki Józefy i syna Jana - wszystkie prace na roli, nie przejawiał zainteresowania perspektywą zostania drobnym rolnikiem na wsi kujawskiej. Najstarszy syn Waclaw nie wrócił już po wojnie do rodziny. Zamieszkał w Warszawie, tam podjął pracę, ożenił się, usamodzielniał. Na niego więc nie można było liczyć. Córka Helena również nie wróciła po wojnie do rodziny. Dołączyła do rodziny swojego chłopaka Kazimierza Dobrowolskiego, z którym wkrótce zawarła formalny związek małżeński. Kolejna odmiana losu nadeszła już na początku roku 1947. Bolesław stanowczo oświadczył, że na gospodarstwie nie zostanie i już w lutym „poszedł do szkół” podejmując naukę w Toruniu. Do domu na stałe już nie wrócił. Do pracy w gospodarstwie pozostało więc dwoje najmłodszych dzieci: Józefa (19), Jan (17) i żona Wiktoria (53).

Z trudem już dawali sobie jakoś radę z prowadzeniem gospodarstwa, podnajmując robotników do robót sezonowych, ale już w następnym roku syn Jan także odszedł z gospodarstwa, poszukując własnej drogi życiowej (Hufiec „Służba Polsce”) i odbywając następnie obowiązkową służbę wojskową. Okoliczności te wielce osłabiły możliwości nie tylko rozwoju, ale nawet utrzymania gospodarstwa. Wprawdzie w roku 1950 Grzegorz przyjął stałego najemnego pracownika, jakiegoś Niemca, nazywanego spolszczonym imieniem Zygmunt (który w jakichś niewyjaśnionych okolicznościach nie został przesiedlony po wojnie do Niemiec), ale gospodarstwo nadal bardzo odczuwało brak rąk do pracy, zwłaszcza ręcznych prac polowych. Pogłębiająca się astma mocno ograniczała zdolność Grzegorza do ciężkiej pracy w gospodarstwie rolnym. Udało mu się nawet nakłonić syna Waclawa do próby przejęcia gospodarstwa, który - wraz z żoną Aleksandrą i dwojgiem dzieci: Ludmiłą i Zbigniewem - jesienią 1951 roku przeniósł się z Warszawy na Nowiny, ale była to próba nieudana. Gospodarstwo wyraźnie zmierzało do upadku.

Przysłowiową „kropką nad i” było zagrożenie kolektywizacją. Gminny i wiejski tzw. aktyw partyjny PZPR i ZSL naciskał na przyspieszenie kolektywizacji wsi Chlewiska i zaczął zapisy do „dobrowolnego” założenia Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej, czyli znanego Grzegorzowi

z życia na Wołyniu kołchozu. To przesądziło o jego i reszty rodziny dalszym losie. Nie chcieli reszty życia spędzić w „kołchozie”. Po naradzie z najbliższymi podjęto wspólną, niełatwą decyzję porzucenia gospodarstwa i przyjęcia propozycji syna Bolesława przeniesienia się do miasta na zachodzie Polski. Bolesław zamieszkały teraz w Zielonej Górze, najpierw jeszcze wiosną 1952 roku namówił brata Waclawa do przeniesienia się wraz z rodziną właśnie do Zielonej Góry i podjęcia tu pracy. Wkrótce zresztą Waclaw przeniósł się z rodziną do małego miasteczka Jasień, gdzie objął niezłe płatne stanowisko kierownika stolarni państwowego przemysłu terenowego. Wiosną 1953 roku rodzina Grzegorza ostatecznie już zdecydowała o rezygnacji z prowadzenia gospodarstwa rolnego w Chlewiskach i przeniesienia się do miasta na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Tu - według rozeznania syna Bolesława - można było jeszcze bez większego trudu znaleźć przyzwoite mieszkanie i pracę także dla pozostałej dwójki dzieci. Czyli „odysei” ciąg dalszy...

#### **Etap XIV - Lubsko**

Samorządowe władze gminne absolutnie nie dopuszczały możliwości prostego porzucenia gospodarstwa. Trzeba było zapewnić, choćby tylko faktyczną, opiekę nad opuszczanym majątkiem. W tej sytuacji Grzegorz postanowił przekazać swoje gospodarstwo nieformalnie i całkowicie nieodpłatnie w użytkowanie niejakiemu S.Wochnie, bezrolnemu byłemu pracownikowi majątku ziemskiego z sąsiedniej wsi Walentynowo. Oczywiście spieniężył co się tylko dało z posiadanego majątku, zwłaszcza inwentarza żywego (jedną krowę pozostawił w darze S.Wochnie) i zmieściwszy cały dotychczasowy materialny dorobek życiowy w kilku walizkach, w połowie maja 1953 roku wraz z rodziną przybył do syna w Zielonej Górze.

Tutaj dalsze przewodnictwo przejął syn Bolesław. Uprzedzony o terminie przyjazdu znalazł w mieście Lubsku tymczasowe lokum dla przybywających. To było dwupokojowe mieszkanie znajdujące się w oficynie domu niejakiej p. Szulc przy ul. Krakowskie Przedmieście nr 9. Warunki zakwaterowania, co prawda nie były komfortowe, ale na początek musiały wystarczyć. Po kilku tygodniach, dzięki staraniom syna, przenieśli się do bardzo wygodnego, samodzielnego już, kilkupokojowego mieszkania przy nieczynnym młynie, należącym do terenowego przedsiębiorstwa Młynów Gospodarczych w Żarach. Według umowy w miejsce czynszu Grzegorz miał świadczyć dozór nad młynem i chronić go przed dewastacją i grabieżą.

Bez większego trudu dzieci znalazły pracę zarobkową. Syn Jan zatrudnił się w miejscowych Zakładach Przemysłu Włókienniczego, córka Józefa, po nieudanej próbie pracy w sklepie na samodzielnym stanowisku, znalazła zatrudnienie w Fabryce Mebli w Jasieniu k/Lubsko. Także i Grzegorz wkrótce podjął pracę zarobkową jako strażnik w miejscowym oddziale Spółdzielni Inwalidów „Ochrona Mienia”. Żona Wiktoria prowadziła gospodarstwo domowe i przydomowy ogródek warzywny.

Miejskie życie Grzegorza i jego rodziny ustabilizowało się. Podjęta praca nie przekraczała jego możliwości fizycznych, choć astma coraz bardziej utrudniała mu życie. Wnet polubił te swoje nowe zajęcie, które polegało na nocnym dyżurze przy telefonie w biurze Przedsiębiorstwa Terenowego „Las”, mieszczącego się zaledwie kilkadziesiąt kroków od domu. W pracy wspomagał go jego psiak Misiek. Troski o los rodziny praktycznie zniknęły. Wszystkie dzieci były już samodzielne i zarabiały na swoje i swoich rodzin utrzymanie. Doczekał się też siedmiorga wnucząt. Trochę czytał w pracy gazety, aby się zbytnio nie nudzić. W swoim zakładzie pracy miał kolegów, z którymi mógł porozmawiać,



powspominać minione czasy. Tak więc dalsze życie stało się całkiem znośne i wydało się, że to już koniec jego udreki, szczęśliwe zakończenie jego tułaczki.

Niestety, wtedy przyszło najgorsze. W grudniu 1956 roku, tuż przed świętami Bożego Narodzenia trochę się przeziębził i kilka dni pozostawał na tzw. zwolnieniu lekarskim. Był jeszcze osłabiony, gdy - lekceważąc dość mroźną pogodę - poszedł tylko lekko ubrany do fryzjera. Już wieczorem poczuł się źle, zaczął gorączkować. Wezwany do chorego zaprzyjaźniony lekarz dr Łukaszewicz zdiagnozował obustronne zapalenie płuc. Stan chorego pogarszał się z każdym dniem, mimo wysiłków doktora Łukasiewicza, który mając dobre kontakty z kolegami w Szwajcarii, próbował go ratować nowymi lekami, a żona i córka Józefa nie odstępowały od łóżka chorego, zapewniając mu właściwą opiekę.

**Grzegorz zmarł 22 lutego 1957 roku we własnym łóżku. Tak zakończyła się ta Jego „odyseja”.**

Zielona Góra, marzec 2013